Rok IV. We Lwowie 14. września 1898. Nr. 16.

GAZETA HANDLOWO-GEOGRAFICZNA

Organ Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego we Lwowie,

dwutygodnik, poświęcony sprawom wychodztwa i kolonizacyi oraz handlu i przemysłu polskiego

Wychodzi 10-go i 25-go w miesiącu.

Warunki prenumeraty:

W państwie austro-węgierskiem rocznie 3 zł., półrocznie 1 zł. 50 ct. We Francyi, Włoszech, Brazylii rocznie 10 półrocznie 5 franków w Niemczech rocznie 7, półrocznie 3 marki 50 fenig.; w Anglii rocznie 8 półrocznie 4 szylingi; w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki rocznie 2 półrocznie 1 dolar; w Królestwie Polskiem i Rosyi (w kopercie) rocznie 8 półrocznie 4 ruble. — Numer jeden kosztuje 15 ct. — Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 15 ct. od wiersza trójszpaltowego petitem.

Prenumeratę najlepiej wysyłać wprost do Administracyi pisma. — Zastępstwa Gazety Handlowo-geograficznej znajdują się *W Londynie 3 Devizes Str. Hoxton,* Jan Kolano; *w Bukareszcie Strada Bisericei Enei 7,* E. Strzembosz; *Oberhausen* (Rheinland F. Rostkowski; *w Chicago Ill 49 Emma Street,* Stefan Hewell; *w Kurytybie* (Parana) *Rua Serrito 24,* Lucian Sztencel. *W św. Mateuszu* (Parana) J. O Flizikowski; *w Blumenau* (St. Catharina), J. Wałkowski; *W Porto Alegre* (Rio Grande do Sul) F. B. Zdanowski

Adres dla wszelkich przesyłek: Redakcya „Gazety handlowo-geograficznej" we Lwowie (Lemberg-Austria) ul. Akademicka 8

Związek dla obrony i rozszerzania języka polskiego.

Niema chyba języka, który by posiadał taką siłę atrakcyjną, jak francuski. Prawda, że istnieje na kuli ziemskiej więcej chińczyków, anglików, niemców, a nawet hiszpanów, niż francuzów, ale nikomu do głowy nie przyjdzie uczyć się języka chińskiego, jeśli nie jest do tego zmuszony, z niemieckim zaś i angielskim do pewnego stopnia to samo się dzieje: większość cudzoziemców, którzy przyswoili sobie te języki, czyni to z potrzeby, dla zawarcia stosunków handlowych lub przemysłowych. Po francusku zaś uczy się każdy, kto chce poznać francuską literaturę, czytać choćby tylko francuskie powieści i dzienniki; a takich ludzi jest mnóstwo i spotkać ich możemy wszędzie.

Zdawałoby się zatem, że jeśli gdzie, to we Francyi zbytecznem byłoby zadawanie sobie trudu dla rozpowszechnienia znajomości języka francuskiego. Proces ten odbywa się żywiołowo i trwać będzie dopóty, dopóki Francya nie ustąpi ze swego dzisiejszego przodującego stanowiska w rodzinie ludów europejskich.

A jednak francuzom to nie wystarcza; uważają oni, że mają jeszcze na kuli ziemskiej wielu rodaków, którym grozi wynarodowienie, oraz cudzoziemców, którzy mogliby nauczyć się po francusku, gdyby im tylko przyjść z pomocą. Wiedząc z doświadczenia, że największy nawet patryota, rzucony między obcych i pozbawiony książki w języku ojczystym, może się wynarodowić, a dzieci jego przejdą prawie na pewno do narodowości obcej, jeżeli będą zmuszone pobierać nauki w języku obcym, — francuzi postanowili założyć stowarzyszenie, które miałoby wyłącznie na celu popieranie szkół, bibliotek, stowarzyszeń francuskich, istniejących zagranicą i wogóle szerzenie języka francuskiego.

Stowarzyszenie to nosi nazwę *„Związku francuskiego, stowarzyszenia narodowego dla szerzenia języka francuskiego w koloniach i zagranicą"*. Warto przyjrzeć się bliżej tej instytucyi, gdyż może ona być dla nas z wielu względów pouczającą.

»Związek francuski« założony został w r. 1883. Organizacya jego jest bardzo prosta. We Francyi, oraz wszędzie, gdzie się znajdują francuzi, tworzą się towarzystwa, będące filiami Związku. Towarzystwa te, o ile istnieją we Francyi samej, zajmują się tylko zbieraniem funduszów oraz propagandą celów »Związku«. Noszą one też nazwę *komitetów propagandy.* Zaś po za granicami kraju znajdują się *komitety akcyi,* które, obok zbierania funduszów, opiekują się miejscowemi szkołami francuskiemi, starają się o zaprowadzenie wykładu języka francuskiego w szkołach obcych, zakładają czytelnie itp. Oprócz tego są i członkowie pojedyńczy; ci w mniejszym zakresie czynią to samo. Na czele stoi wydział, do rąk którego płyną fundusze, książki i przedmioty szkolne itp. i który rozsyła je po całym świecie, na podstawie informacyi, dostarczanych przez komitety akcyi. Jak kolosalną jest działalność »Związku«, tego dowiodą następujące dane: ilość członków wynosi obecnie 35.000 (z tego w Paryżu 2.700, na prowincyi Francyi 18.000, zagranicą do 15.000), suma dochodów za rok ubiegły — 211.000 franków (czyli 100.000 zł.), gdy jeszcze w roku 1896 było dochodu tylko 153.000 fr., komitetów jest obecnie 225 oraz 228 t. zw. delegatów, wreszcie »Związek« dał w roku 1897 subwencye *348* szkołom, w sumie 162 tysięcy franków!

»Związek« popiera nie tylko szkoły czysto francuskie, ale i wszelkie szkoły obce, w których wykładany jest język francuski, by w ten sposób przyczynić się do rozpowszechnienia znajomości języka francuskiego wśród cudzoziemców. Do jakich rezultatów »Związek« doszedł na tem polu, pokazuje np. ten fakt, że dzięki jego agitacyi założone zostało w Meksyku, mieście, pozbawionem prawie zupełnie ludności francuskiej, gimnazyum z językiem wykładowym francuskim. Szczególna uwaga zwrócona jest na Wschód, gdzie Francya od wieków stara się o ugruntowanie swego wpływu. Kanada ze swą $1^1/_2$ milionową ludnością francuską, dawniej tak zapomnianą, stoi też na pierwszym planie.

Czem objaśnić sobie ten pyszny wzrost »Związku«? Składają się na to różne czynniki. Przedewszystkiem rząd centralny oraz ciała wyborcze prowincyonalne francuskie żywy przyjmują udział w robotach towarzy-

stwa, zasilają je pieniędzmi, otaczają swą opieką itd. Ale to jedno nie wystarczyłoby. Subwencye rządu, rad departamentalnych, miejskich itp. wynoszą razem 31 tysięcy fr, czyli stanowią zaledwo 15% dochodów towarzystwa. Najważniejszą rolę gra akcya samego społeczeństwa, które odczuwa widocznie i rozumie potrzebę podobnej roboty. Zaś na wywołanie podobnej akcyi składają się, o ile sądzić możemy ze sprawozdań »Związku«, dwie przyczyny. Z jednej strony wchodzi tu w grę naturalna zupełnie i istniejąca u tylu ludzi chęć zwiększenia potęgi swego narodu, obrony francuzów od wynarodowienia i przysporzenia Francyi jak największej ilości przyjaciół przez rozpowszechnienie języka i kultury francuskiej. Jest to czynnik *idejowy*. Drugim, *materyalistycznym* jest przeświadczenie, wypowiedziane w jednej z odezw »Związku«, że *rozszerzenie znajomości danego języka jest zarazem rozszerzeniem zbytu na produkty danego narodu*. Jeżeli patryotę francuskiego cieszy to, że kanadyjczycy francuscy, koloniści Algieru, wyspy Mauritius lub Kochinchiny pozostaną francuzami, że hiszpanie, grecy oraz armeńczycy pobierają wykształcenie w szkołach francuskich i z książek francuskich, to przemysłowiec, handlarz lub wydawca zaciera ręce, obliczając, ilu on kupców wina, galanteryi, mebli oraz książek francuskich zdobędzie za pośrednictwem lub wskutek działalności »Związku«.

I jeżeli Francya, której byt narodowy spoczywa, zdawałoby się, na tak trwałych podstawach, wytęża jednak w tak znacznym stopniu swe siły dla obrony i wzmocnienia elementu francuskiego zagranicą, to zadajmy sobie pytanie, czy nie byłoby na czasie wytworzenie czegoś podobnego i u nas? Przypomnijmy sobie, ile to już setek i tysięcy polaków wynarodowiło się i to nie tylko za granicami kraju, ale niedaleko od granic Polski etnograficznej, prawie na naszych oczach. Począwszy od wiosek konfederatów barskich, przesiedlonych na Sybir, którzy przyjęli »kulturę« rosyjską, ba nawet buriacką, od licznych i obfitujących niegdyś w znakomite talenty kolonii emigracyjnych we Francyi, Szwajcaryi, Turcyi, przechodząc do tych mas polaków, którzy wynaradawiają się powoli w Stanach Zjednoczonych, Brazylii, Australii, a skończywszy na blizkich nam górnoszlązakach, mazurach pruskich, mieszkańcach Cieszyńskiego, Węgier północnych, Bukowiny, wreszcie na tych oazach polskich, rozsianych wśród rusinów prawie pod rogatkami Lwowa i tak często zaniedbanych pod względem narodowym — ileż by to było do zrobienia!

I nie zapomnijmy przytem, że polacy nie są wcale narodem, łatwo dającym się wynarodowić. Każdy, kto widział np. polskich i niemieckich emigrantów, przyzna, że ci ostatni, *przy równych warunkach*, daleko łatwiej ulegają obcemu wpływowi od nas. Ale całe nieszczęście polega na tem, że właśnie te warunki zwykle nie są jednakie. Koloniście niemieckiemu daleko łatwiej znaleźć książkę, nauczyciela lub szkołę ojczystą, niż polakowi, to też nam grozi wielkie niebezpieczeństwo wynarodowienia. I jeżeli, pomimo najbardziej niesprzyjających warunków, nasze Bartki i Maćki potrafiły w Paranie wywalczyć sobie od Luso-Brazylian pewne uznanie dla języka polskiego i trzymają się tak dzielnie w wielu miejscowościach Stanów Zjednoczonych, to cóż by było, gdyby im do pomocy stanęło towarzystwo w rodzaju francuskiego »Związku«, choćby ono rozporządzało, daleko mniejszymi zasobami!

Ależ my nie możemy mieć ani subwencyi rządowych, ani opieki ambasadorów! — zawoła niejeden pesymista, przeczytawszy te słowa. Na to odpowiemy przedewszystkiem, że i rząd francuski nie popierałby »Związku«, gdyby ten nie składał na każdym kroku dowodów swej żywotności, dalej, że jak widzieliśmy »Związek« czerpie główne swe zasoby z ofiarności samego społeczeństwa, wreszcie, że chociaż nie mamy swego rządu, ale posiadamy w Galicyi cały szereg autonomicznych ciał rządzących, które by zapewne nie odmówiły swej pomocy jakiemuś *Towarzystwu dla obrony i popierania języka polskiego*, byle by ono samo rozwijało się pomyślnie. Przytem, jeżeli udało się, w znacznym stopniu dzięki agitacyi Towarzystwa Handlowo Geograficznego, uzyskać dla Parany konsula austro-węgierskiego, umiejącego po polsku i broniącego naszych rodaków, to zapewne możnaby to zrobić i w wielu innych miejscowościach.

Ale to jest rzecz drugorzędna. Ważniejsze daleko jest pytanie, czy wśród nas samych istnieją elementy dla prowadzenia działalności, podobnej akcyi »Związku francuskiego«? Otóż zdaje nam się, że w chwili dzisiejszej odpowiedź musi wypaść potakująco. Niema chyba ani jednego polaka, którego by wiadomość o stosunkach, panujących w zaborze pruskim, nie wzruszyła do głębi serca i nie przeświadczyła o potrzebie założenia towarzystwa dla obrony polskości. Uchwalenie przez sejm pruski drugich stu milionów na rzecz wynarodowienia polaków, hasło zagłady elementu polskiego, głoszone już dziś zupełnie otwarcie przez rząd pruski z jednej strony, a przez towarzystwo H. K. T. z drugiej, ta bezustanna walka, którą toczą z nami setki stowarzyszeń niemieckich, urzędów, gazet i t. p., ta stukołowa maszyna germańska, pracująca z całą siłą pary nad wytępieniem polaków, to jest niebezpieczeństwo, które nie pozwala nam ograniczać się, jak dotąd, na obronie partyzanckiej, ale zmusza do stworzenia organizacyi odpowiedniej.

Ale nie sądzimy bynajmniej, by działalność takiego stowarzyszenia dla obrony języka polskiego powinna była ograniczyć się jednym zaborem pruskim. Obrona od wynarodowienia każdej garstki polaków, czy oni przebywają w kraju, czy na obczyznie, wzmacnia siły narodu polskiego i musi się odbić prędzej czy później na wszystkich. Im więcej będziemy liczyli polaków, tem więcej pisma nasze będą miały abonentów, książki — czytelników, wyroby — kupców, a jeżeli zdarzające się już dziś sporadycznie fakty studyowania języka polskiego przez cudzoziemców zaczną się częściej powtarzać, to i z tego tylko korzyść zdobyć sobie możemy.

Potrzeba *„Stowarzyszenia dla obrony i popierania języka polskiego“* istnieje bez wątpienia a gdzie taka potrzeba istnieje, tam muszą się znaleźć i siły. Na razie ograniczymy się na skonstatowaniu tego faktu i na wezwaniu naszych czytelników do zastanowienia się nad tą sprawą. Jakim zaś powinienby być zakres działania podobnego stowarzyszenia — to jest kwestya, której nie podobna omówić w jednym artykule i nad którą zastanowimy się z czasem.

Handel i przemysł.

O potrzebie założenia banku przemysłowego.

Coraz więcej zastanawiamy się nad rozpaczliwem położeniem kraju i choroba jest poznana: brak sił, ogólny zanik, leczących bardzo, a może — za wiele.

Piszącemu te słowa przypomina się zdanie jednego z najlepszych znawców współczesnych stosunków społecznych, Schmollera, wypowiedziane na słynnym kongresie w Eizenach: społeczeństwo nasze podobne do drabiny, u której brak szczebli średnich.

W drabinie galicyjskiej istnieją z wyjątkiem kilku magnatów i szczupłej ilości średnio zamożnych tylko najniższe szczeble, proletaryat mnogich form, artyzmem życia z głodu zdumiewający.

Dążymy więc do polepszenia w kierunku dwojakim, chcemy stosownie do obszaru ziemi uprawnej, zostać krajem per excellence rolniczym, chcemy obok tego i pomni zdawna, że tylko w krajach o wysokiej kulturze rolnej, istnieć może przemysł zdrowy, stworzyć przemysł.

Same z siebie narzucają się dwie kwestye.

Pytamy: jakie warunki sprzyjają rozwojowi przemysłu — jakiego rodzaju przemysł powstanie?

Rozwój przemysłu zależy w pierwszym rzędzie od materyału ludzkiego, istnienia lub braku przedsiębiorczości w społeczeństwie. Dalszymi czynnikami są położenie geograficzne, stosunki polityczne, przynależność do pewnego obwodu cłowego, istnienie surowca i materyału opałowego, wreszcie ilość rozporządzalnego kapitału pieniężnego.

Wychowanie publiczne, czuwanie nad rozszerzeniem sieci kolejowej, nad należytem ustaleniem cen przewozowych, uwzględnieniem potrzeb kraju przy zawieraniu państwowych umow handlowych, to wszystko stanowi część przednich zadań władzy.

Istnienie surowca i materyału opałowego jest rzeczą niezawisłą od czynności ludzkiej, energia społeczeństwa może i tu skutecznie podnieść ilość (do pewnych granic) i taniość jednego i drugiego, a energię tę szukać należy w pierwszym rzędzie w zrzeszeniu.

Więcej jeszcze jak tu, asocyacya wprost jest konieczna doześrodkowania potrzebnej ilości kapitału pieniężnego.

Spółka bezimienna, przenosząca swe udziały zapomocą akcyi, jedynie może sprawić to, co w kraju nieobfitującym w kapitał wolny, zdaniem naszem nieodzownie jest konieczne, sprowadzi kapitał obcy z krajów o niższej stopie procentowej.

Zakłady istniejące trudnią się prawie wyłącznie kredytem obiegowym, przynoszącym dziś zyski, jakich kredyt produkcyjny nigdy nie przyniesie.

Banki na zysk obliczone czynią tedy, zajmując się interesami „credit mobilier“, co najwyżej (czasami źle zrozumianą) ofiarę pro bono publico.

Bank krajowy, działający w kierunku zniżenia krajowej stopy dyskontowej, niema ani należytego kapitału, ani też koniecznej elastyczności, by być tem, czem wedle niesłusznego mniemania, być powinien bankiem przemysłowym. Z czynnościami takiego banku połączone jest zakładanie i finansowanie przedsiębiorstw wszelkich, a ryzyka tego Bank krajowy na się przyjąć nie może i nie powinien.

Bank polski w Warszawie, założony w r. 1828 z kapitałem 3 milionów rubli, otrzymał w późniejszym czasie blisko 300 milionów publicznych depozytów; temu wyposażeniu odpowiadały świetne rezultaty, powstanie w Królestwie przemysłu wielkiego, silnego, mimo niepomyślnych stosunków politycznych.

Takich kapitałów i co najważniejsze, zupełnego zrzeczenia się interesu hipotecznego, wymagałoby przekształcenia Banku krajowego na bank przemysłowy, a w tym razie w miejsce jednej luki powstałaby druga, niemniej dotkliwa.

Nie mając państwowej samodzielności, o utworzeniu tak hojnie z publicznych funduszów wyposażonego zakładu, jakim był Bank polski, marzyć nie można.

Zerwały się jednak od r. 1828 stosunki międzynarodowego rynku pieniężnego: pieniądz angielski, belgijski, francuski, niemiecki, szuka umieszczenia w afrykańskich minach złota, polach dyamentowych, kolejach chińskich (w tych ostatnich co prawda więcej ze względu na politykę handlową).

Koncentracya w zakładzie silnym, opartym o całe społeczeństwo, celowo i umiejętnie kierowanym zdoła niezawodnie ściągnąć cząstkę owego złotego deszczu na dziewicze pola galicyjskiego przemysłu.

Stworzenie pierwszego kwitnącego zakładu przemysłowego, pewność znalezienia odpowiedniego kredytu, będzie zachętą dla tych, którzy dziś albo bezczynnie obok skarbów przyrody siedzą, albo też, mając należytą ilość sprężystości i dobrych pomysłów, daremnie szukają wykonawczej siły kapitału.

Że na oku mamy w pierwszym rzędzie przemysł wielki, fabryczny, to chyba osobnego usprawiedliwienia nie wymaga.

Korzystniejsza wymiana produktów (w formie szlachetniejszej) zawisła od możności współzawodnictwa na rynku światowym, a możność tę daje obecnie tylko przemysł wielki.

Tego przemysłu żąda też koniecznie mnoga ilość „wolnych rąk“, jeżeli nam wolno użyć tego znienawidzonego wyrazu szkoły manczesterskiej.

W pewnych jemu z natury rzeczy zakreślonych choć nielicznych gałęziach pozostanie zawsze jeszcze wiele do czynienia dla przemysłu rękodzielnego i domowego, którego podporę kredytową stanowić będzie i nadal Bank krajowy, względnie krajowy fundusz przemysłowy.

Dr. K. K.

Łączność ekonomiczna z wychodztwem.

Zawiązanie „Krajowego Związku Przemysłowego“ powitała prasa polsko-amerykańska bardzo sympatycznie. Nie ulega wątpliwości iż „Krajowy Związek Przemysłowy“ jeśli tylko rozszerzy swą działalność na Amerykę znajdzie w rodakach naszych pomoc i poparcie. „Zgoda“ organ Związku Narodowego Polskiego najpotężniejszej organizacyi polskiej w Ameryce północnej tak pisze w tej sprawie:

„Witamy powstanie Związku Przemysłowego z prawdziwą radością, a witamy go tem radośniej, że widzimy w jego programie zamiar wejścia w stosunki handlowe z wychodztwem.

Dawno już odczuwaliśmy tego potrzebę, dawno już Związek taki znalazłby tutaj rynek otwarty dla rozmaitych wyrobów naszych nietylko wśród rodaków, ale i Amerykanów.

Brak takiego czynnika, jakim Związek Przemysłowy być zamierza, spowodował to, że pośrednictwem w handlu z krajem zajęli się dyletanci, nie mający pojęcia o handlu i nie tylko że potracili sami to co mieli, ale, co gorsze, tak zrazili nabywców tutejszych i sprzedawców krajowych, że jedni i drudzy posługują się obecnie pośrednictwem domów handlowych niemieckich. Mowa tu nie tylko o Stanach Zjednoczonych, ale i o Brazylii.

Z tego względu nader trudnem będzie z początku — z góry to powiadamy — dla Związku Przemysłowego, gdyby i na Amerykę swą działalność rozprzestrzenił, wyrobienie sobie tutaj kredytu moralnego. Będzie on miał

do zwalczenia oprócz pośrednictwa niemieckiego też i tą — tak właściwą naszemu narodowi — ociężałość w chwytaniu się środków nowych, zrywaniu z utartym porządkiem rzeczy; ale jeżeli i tę ociężałość zwalczy, to nie ma wątpliwości, że Ameryka stanie w liczbie jego kundmanów, bo niemożebnem jest przypuszczenie, aby dwumilionowa ludność polska zamieszkująca ląd amerykański nie skorzystała z pośrednictwa instytucyi handlowo-przemysłowej polskiej, gdy okaże się, że ta instytucya oparta jest na podstawach ściśle handlowych i pojmuje swój własny interes.

Ostatnie zastrzeżenie dodajemy dlatego, iż długa obserwacya wykazała nam dobitnie, że w naszych, tj. polskich, stosunkach handlowych nieraz grała ważną rolę czułostkowość, nieraz chęć okazania względów i zaufania rodakom, nieraz i wspaniałomyślność — a to wszystko ze szkodą interesu, ze szkodą dla handlu i przemysłu krajowego. Dlatego też zupełnie słusznie zaznacza „Dziennik Berliński“, omawiając tę kwestyę, że Związek Przemysłowy „przedewszystkiem musiałby być prowadzony po kupiecku, bez nadużywania haseł patryotycznych“.

Ale to stanowi tylko jedną stronę medalu. Trzeba zajrzeć i do drugiej, a tą jest pytanie, czy Związek Przemysłowy mógłby bez uprzednich przygotowań, tylko na zasadzie pewnych wiadomości o potrzebie danych artykułów handlu, wejść w stosunki handlowe z Ameryką? Sądzimy, że nie, bo tutejszy sposób prowadzenia interesów handlowych jest tak różnym od europejskiego, że niezbędną potrzebą jest zbadanie stosunków na miejscu, zanim zacznie się jakąkolwiek akcyę handlową, tembardziej że nie chodzi nam tylko — jak zaznaczyliśmy — o zawarcie stosunków z Polakami, ale i Amerykanami.

Dlatego też mamy nadzieję, że jeżeli Krajowy Związek Przemysłowy zechce rozszerzyć swą działalność i tutaj, to najpierw wyśle delegata gruntownie wykształconego handlowo, którył przynajmniej w ciągu kilku miesięcy mógł studyować tutejsze stosunki handlowe, poświęcając zbadaniu takowych cały swój czas bez potrzeby krępowania się myślą o zarobku codziennym, bo zawiązanie bezpośrednich, poważnych stosunków handlowych z Ameryką jest jeszcze u nas nowością, bez głębszych więc studyów preliminarnych i poświęcenia obejść się nie może, jeżeli ma być skutecznem.

A że może być skutecznem, z wielką korzyścią dla nas i dla kraju — o tem wątpliwości nie ma.

Tak przedstawia się nam zawiązanie stosunków handlowych Krajowego Związku Przemysłowego z nami. Co się tyczy naszej redakcyi, to z całą chęcią — o ile to leży w naszej mocy — popierać będziemy to nowe przedsiębiorstwo krajowe.

Rękojmią tego, że Związek odda polskiemu społeczeństwu w Galicyi wielką przysługę, rozwijając jej przemysł i handel, stanowią nazwiska jego założycieli, to też choćby nawet nie miało przyjść do rozszerzenia działalności jego poza granice Europy, życzymy mu serdecznie powodzenia i szybkiego rozwoju“.

Fabryka syropu kartoflanego w Nosowie.

Więc trzeba wracać z pięknej Worochty, rzucić urocze góry, a zaprządz się napowrót do biurka. Przez cały czas pobytu powietrze było ciepłe, a listy z biura chłodne; im bliżej do końca urlopu, tem chłodniej stawało się w Worochcie, a tem goretsze były listy, wzywające mnie do czynności biurowych.

Dojeżdżamy do Halicza. Towarzysz podróży wspomina mi o nowo wybudowanej fabryce pod Haliczem. Warsztat to na wielką skalę, mający zmierzyć się z potężnym kartelem, opanowującym Austryę, bo fabryka syropu kartoflanego. Pierwszy raz słyszę o czemś podobnem. Towarzysz podróży tłumaczy mi zastosowanie: używa się syropu do cukierków, pierników, rahatów, sorbetów, używają go gorzelnie, browary itd. itd.

Rozciekawiony opowiadaniem mego interlokutora wpadłem na zuchwałą myśl odwiedzenia fabryki bez żadnych poleceń i rekomendacyi. Droga od dworca była żmudna i długa. Zły na siebie, że się wybrałem w taką podróż, założyłem czarne szkła pessymizmu i śmiałem się z narwańca, który w tej naszej Galicyi próbuje stworzyć nowy przybytek przemysłu fabrycznego.

Przybyłem do Nosowa. Przyjęcie, jakiego mi użyczył dr. Jan Walewski, było tak ujmujące i serdeczne, że natychmiast zmienił mi się humor. Powiedziałem mu:

„Wracam z Worochty, gdzie na łonie natury spoczywałem parę tygodni, mam wpaść pod zimny tusz roboty biurowej i pragnąłem przedtem ukąpać się w europejskości wielkiego przemysłu.“

Pojechaliśmy do fabryki.

Wyraziłem zdziwienie moje, że dr. Walewski, jako właściciel ziemski, puszcza się na burzliwe morze życia przemysłowca. Dr. Walewski po obywatelsku mnie skarcił wygoda jest przyjemna, ale konieczną jest też praca, z fabryki jego żyć będzie setka robotników, garść przewoźników, bednarzy, drobnych przemysłowców itd. itd. A za materyalną zasobnością narodu idzie podatność dla wyższych ideałów, zamiłowanie do pracy i wyższych potrzeb.

„Czy nie miał pan doktór trudności ze strony władz?“ spytałem:

Pan W. zaprzeczył, magistratury były dlań łaskawe. „Może pan posłuje?“ „Tak“. Zrozumiałem tedy, że trzeba być conajmniej posłem, aby nie czekać pół roku na załatwienie „kawałka“.

„Kto naprawia tę drogę?“ „To droga powiatowa“. „Czy pan należy do Wydziału powiatowego?“ „Tak“. Zrozumiałem tedy, że musi się być członkiem Wydziału aby Rada zaopiekowała się drogą, służącą fabryce, która ma wzbogacić powiat przez zakupno kartofli u okolicznych obywateli, przez danie pracy ludności i ożywienie okolicy.

Dojeżdżamy do fabryki. Już na pierwszy rzut oka jest imponująca. Budynek nadzwyczaj obszerny, trzypiętrowy z oficyalnym kominem, widocznym zdala. Naokoło budynku cały szereg cementowanych basenów. Wewnętrzne urządzenie składa się z krochmalarni i syropiarni. Maszyny potężne ze sławnej na całą Europę fabryki Petzolda wskazują na to, że nie znajduję się w „fabryce galicyjskiej“, lecz że to werk, mogący śmiało stać pod Berlinem, a nawet w sąsiedztwie Chicago. Fabryka kosztowała dotąd $1/4$ miliona zł.

Kartofle wsypuje się z zewnątrz do budynku, w sposób najprostszy dostają się w miarę potrzeby do basenów, gdzie je woda płucze. Stąd, bez przenoszenia, za otwarciem tamy idą do krochmalarni, gdzie przechodzą przez maszyny i śruby do basenów, w których krochmal się osadza. Czysty krochmal przechodzi do syrupiarni, przebywa kilka procesów chemicznych, a następnie idzie w czyściec, który stanowi kilka olbrzymich filtrów z palonych kości. Stąd do vacuum i — mamy czysty, śliczny gęsty syrup bezbarwny, słodki.

W stanie stałym syrop ten, jako cukier gronowy zastępuje w handlu tańsze gatunki cukru trzcinowego lub buraczanego.

Z hal maszynowych przeszliśmy do znakomicie urządzonej sali robotniczej, zwiedziliśmy biura, wreszcie oglądnęliśmy niezmiernie obfite źródło zimnej, czystej, miękkiej wody (kapitał dla fabryki tego rodzaju); górę, w której dołowane będą kartofle dla zaopatrywania fabryki w czasach stałej niemożności dowozu, stajnię, dokąd braha sprowadzana będzie z fabryki rurociągami, i zwiedzanie ukończyło się.

Ze szczerą wdzięcznością dla niezwykle sympatycznego gospodarza opuściłem Nosów. I pomyślałem, że to nie narwaniec, ale człowiek wielkiej energii, dobrej woli, i obywatelskiej działalności. Pomyślałem, że zawsześ założenie takiej fabryki, to niwecząca odpowiedź dla tysiąca niedowiarków, piękny przykład dla setki chętnych a nieufnych, otucha dla garści pracujących już dziś na jałowej niwie przemysłu krajowego.

I pomyślałem, że źle, bardzo źle się dzieje u nas, jeżeli to krajowe przedsiębiorstwo oprzeć się może tylko o bank wiedeński i praski, a u krajowych banków oparcia stałego i wydatnego nie znajdzie. Czyżby rzeczywiście tak mało było inicyatywy, tak mało było rzeczywistego patryotyzmu u naszych rozmaitych dyrektorów, by nawet najstosowniejsza w naszych stosunkach fabryka przetworów ziemiopłodów nie mogła znaleść ich względów?

Czy znajdzie je czy nie, *to* dla mnie jest pewnem, że fabryka ma szanse powodzenia. Kartofli w powiecie halickim, podhajeckim i innych co nie miara; położenie niedaleko Rumunii, owej dostawczyni na cały świat rahatów, chlebów sułtańskich, sorbetów i innych słodyczy, wskazuje na wartość eksportu temci bardziej, że ani Rumunia ani Turcya, w braku kartofli, fabryk podobnych nie mają.

Kierownictwo fabryki — poznałem obu spólników dr. Walewskiego i p. Brandstättera — będzie bezwątpienia „europejskie".

Za parę dni odbędzie się kontrola fabryki przez inspektora przemysłowego. Niechże jej p. Nawratil będzie lekkim! *J. K.*

Fabryka proszku desinfekcyjnego. W Krakowie otwartą została w ostatnim czasie fabryka proszku desinfekcyjnego „Humus". Preparat ten, tak ze względu na to, że przeszedł pomyślnie wszelkie próby, jak i z tego powodu, że całe przedsiębiorstwo jest krajowem i używa rodzimego surowego materyału, zasługuje na bliższą uwagę.

Działanie humusu, który jest odpowiednio przygotowywanym proszkiem torfowym, odznacza się przedewszystkiem tem, że nadzwyczaj obficie wchłania rozmaite płyny i gazy. Według orzeczenia krajowej stacyi chemiczno-rolniczej w Dublanach, 100 gr. surowego materyału, służącego do wyrobu humusu, wchłania 2·592 gr. wody; to też użyty jako podsypka pod nowe podłogi, stanowić może humus bardzo dobry środek przeciw wilgoci i grzybowi.

O użyciu humusu, jako środka odwaniającego, wydały fachowe instytucye jak najlepsze i najprzychylniejsze orzeczenia. Usuwa on do tego stopnia niemiłą woń wszelkich nieczystości, że umożliwia wypróżnianie dołów kloacznych nawet wśród dnia, bez wywoływania wstrętu u publiczności. Instytucye te polecają używanie humusu do tego celu i z tego względu, że humus wciągając w siebie płyny kloaczne, nie dopuszcza przedostania się takowych do wody gruntowej, a tem samem chroni wody studzienne od zanieczyszczenia.

Wreszcie ta własność humusu wchłaniania gazów i płynów, przemawia za użyciem jego, jako wybornej ściółki, przyczem rolnicy mogą otrzymać bardzo dobry i skuteczny nawóz.

Emigracya i kolonizacya.

Skupianie się żywiołu polskiego.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że dla ocalenia pojedynczych członków jednego narodu najpewniejszy sposób jest zawsze skupianie się go. Wtedy zorganizowanie się jego jest łatwiejszem.

Wszystkie przysłowia ludów zgadzają się z tem, a niemniej też nawet w świecie zwierzęcym sam instynkt zachowawczy każe trzymać się kupy, gromady.

Najwięcej prawdopodobieństwa, że utworzy się silne społeczeństwo nowopolskie, jest w brazylijskim stanie Parana. Nic więc dziwnego, że tam skupiaćby należało żywot polski. Ściągać by go trzeba tam z reszty Brazylii, z Ameryki północnej i ze starego kontynentu.

Nawoływanie nasze, aby Polacy się gromadzili w brazylijskiem stanie Parana nie jest bynajmniej teoretycznem.

Jest to raczej wyrazem faktycznego stanu rzeczy, że istotnie tam się skupiają bez czyjegokolwiek zapraszania a nawet wbrew odradzaniom. Chłodniejszy klimat olbrzymich płaskowzgórzy Kurytyby, Serryni (gór) i Esperansy (gór) oraz fakt znaczniejszego już nagromadzenia rodaków i pobratymców są temi magnesami przyciągającemi ludność naszą do stanu parańskiego. Jestto ruch tak naturalny, jak spływanie wód z gór do dolin.

Dla zachowania naszego plemienia jestto objaw naturalny bardzo korzystny i każdy, mający to zachowanie na myśli musi jemu sprzyjać.

Tej myśli nie ma niestety „Gazeta Polska" w Kurytybie, która doradza raczej rozproszenie po innych stanach Brazylii. Jestto organ, słabą polszczyzną redagowany a jeszcze słabszym duchem polskim się odznaczający, choć następuje tam zwrot na lepsze.

Wieje z niego nie tyle duch wrogi dla wszystkiego co polskie, ile dziwny pessymizm i brak poczucia polskiego — nie mniej też uderzającą w nim jest dziecięca naiwność pod względem znajomości stosunków brazylijskich n. p. w doradzaniu, aby Polacy osiedlili się nie tylko w Paranie, lecz w stanach St. Catharina, Rio Grande do Sul, Minas Geress (!), Rio de Janeiro (!) i S. Paulo, gdzie wszędzie już są niby w znacznej liczbie. Nie da się zaprzeczyć że są, po Paranie w najznaczniejszej liczbie w stanie *Rio Grande do Sul* (30 do 40 tysięcy) w *St. Catharina* (z 15.000) w *S. Paulo* (może z 10.000). Za to jest ich z parę tysięcy tylko w *Rio de Janeiro* a w znikomo małej ilości w *Minas Geraes* (kilkadziesiąt rodzin w Sabaré i kilkanaście w Barbacena, przybyłych z Rio de Janeiro) i w *Espiritu Santo* (kilkadziesiąt rodzin z Prus Zachodnich w Rio Doce i kilkanaście, zdaje się, z Galicyi w kolonii Leopoldina).

Pojedyńczy ludzie i rodziny ich znajdują się niewątpliwie na całym obszarzy Brazylii i południowej Ameryki. Może im się wszystkim wcale nieźle powodzić i nie chodzi wcale o to, aby dobre i z trudem zdobyte stano-

wiska porzucili czemprędzej i przenieśli się do Parany. Można o tem przeniesieniu się pośród swoich pomyśleć rozważnie i wykonać bez strat to przesiedlenie się, podobne do powrotu do kraju ojczystego.

Także tam, gdzie Polacy są w znaczniejszej liczbie powinni się organizować w stowarzyszenia i stać w stosunkach z innymi rodakami w Brazylii i w starym kraju.

Nawet grupowanie się stałe zupełnie jest usprawiedliwione n. p. w Iżuji i Guarani w północnej części stanu Rio Grande do Sul i w Argentyńskich Missiones. Są to okolice sąsiadujące z Paraną i zbliżone do niej pod względem klimatycznym. Z tamtąd można będzie z czasem podać sobie rękę przy gęstszem zaludnieniu lub lepszej komunikacyi.

Ale niedorzecznością jest doradzać rozpraszanie po olbrzymich obszarach i pomiędzy obcą ludnością choćby w najlepszych klimatach a cóż dopiero po tropikalnych stronach Minas Geraes, Rio de Janeiro i choćby S. Paulo oraz nizkiej nadmorskiej części stanu Santa Catharina, gdzie nasi koloniści dostają często choroby ziemnej (mal da terra) t. j. opadania z sił, nienaturalnego tycia i blednięcia.

Nie wyjaśnionem jest dotąd dokładnie, do jakiego stopnia dokonały się skupienia korzystne żywiołu polskiego w Ameryce północnej.

Nie przypuszczamy bynajmniej, żeby już w drugiej czy trzeciej generacyi żywioł polski był tam stracony czyli zupełnie zangielszczony. Wierzymy niezachwianie w to, że doniosłemi stać się mogą jego zasługi dla sprawy polskiej i że w przeważnej swej części zachowa się od wynarodowienia przez długi czas i może na zawsze.

Wiemy, że tam istnieją silne i liczne organizacye polskie i że nie tylko całe dzielnice wielkich miast są tam polskiemi, lecz też spore szmaty ziemi, jak północny Wiskonsyn i północny Miczygan i pewne części Teksasu są bardzo przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, przez ludność polską zamieszkałe.

Nie wiemy jak daleko znikły lub posunęły się widoki skolonizowania stanu Waszyngton lub pewnej przynajmniej jego części nad oceanem spokojnym. W każdym razie nie zdaje się nam, żeby gdziekolwiek w Stanach Zjednoczonych lub nawet w Kanadzie tak dobre byłyby widoki utrwalenia żywiołu polskiego jak w Paranie. Przeto uważamy, że i z północnej Ameryki powinnyby się na większą skalę rozpocząć przesiedlenia się Polaków z anglosaskiego niebezpiecznego otoczenia do niezaludnionej Parany. Dokona się to z tem większą łatwością, że w Stanach Zjednoczonych zaczyna być duszno; kraj ten szybko się zaludnia i przejmuje szowinizmem yankesowskim.

Równocześnie zaś wzmaga się duch wszechamerykański. Wielka Unia północna stara się usilnie o bliższe stosunki z innemi rzeczami pospolitemi północnej i południowej Ameryki. Dokonywa to za pomocą ułatwień komunikacyjnych m. i. olbrzymiego przedsiębiorstwa kolei żelaznej z Meksyku przez Panamę lub tylko choćby z Kartageny (nad zatoką meksykańską) do Brazylii i Argentyny przez Ekwador, Kolumbię, Peru Boliwię) oraz za pomocą traktatów handlowych i wspólności celnych. Ten duch wszechamerykański dopomoże do przeniesienia się pewnej części Polaków z północnej półkuli na południową.

Znajduje się też blisko 200.000 ludności polskiej na przeludnionych ziemiach środkowych i zachodnich Niemiec i z jakie kilkanaście tysięcy w jeszcze więcej przeludnionej Anglii. Prawdopodobnie stanie się coraz trudniejszem zachowanie się żywiołu naszego w tych krajach, cierpiących na zbytek ludności. Jeżeli ludność nasza ma z nich odpływać lub w nich zanikać, niechżeby raczej popłynęła choćby wązkim strumieniem do Parany.

Co do wychodztwa w głąb Rosyi, pzekonywamy się coraz więcej, że ono jest zgubne tak ze względów klimatycznych jak politycznych Nie widzimy możności silniejszego zgrupowania się tam żywiołu polskiego.

Niewątpliwie stosunki handlowe należy zawiązać z głębią Rosyi i Syberyą i wyzyskać otwierające się nowe drogi zbytu na dalekim wschodzie.

Rzecz to naszych rodaków pod panowaniem carskiem. Lecz serce się nasze kraje z przypatrywania się ciągłej stracie, jaką ponosimy w młodzieży naszej inteligentnej. Kwiat jej bez ustanku wędruje za karyerą i majątkiem na wschód i wzmacnia żywioł nam wrogi. Znaczna jego część wsiąka w otoczenie moskiewskie. Czyż nie lepiej byłoby uchodzić do swoich tam, gdzie inteligencyi polskiej bardzo mało i gdzie ona na gruncie licznego i skupionego żywiołu swojskiego nie zatraciłaby się a przeciwnie z korzyścią dla siebie i ogółu polskiego zakwitłaby doniosłemi zasługami dla plemienia własnego? Czyż, gdyby się ten kwiat inteligencyi zwrócił do ziemi parańskiej, nie powstałoby tam poważne ognisko polskie, utrwalające się z dnia na dzień?

Wreszcie nie trzeba zapominać, że w rodzinnych naszych stronach czeka nas w blizkiej przyszłości mniej niż rajska szczęśliwość. Jest prawdopodobieństwo większego jeszcze prześladowania pod panowaniem rosyjskiem i pruskiem — może nastaną jakie rozruchy, zaostrzenie się przeciwieństw społecznych, narodowych i państwowych — może wielka wojna na naszych ziemiach. Słonem położenie w Polsce jest także, że mógłby jaki polski Izajasz przepowiedzieć coś takiego, co sprawi kilkakrotne gorączki emigracyjne. Trzeba się na to przygotować za wczasu i nadać jaki zbawienny kierunek temu prądowi w miejsce dotychczasowych bezmyślnych, żywiołowych. Zdaje nam się, że i w tem przewidywaniu należałoby powtórzyć nasze caeterum cenzeo.... do Parany.

Z życia polskiego w Kurytybie.

Wiadomości z Kurytyby brzmią teraz wojowniczo. Polacy, jak zwykle, okazują tam temparament nie lada, zwłaszcza w kłótniach i sporach jakie tam wybuchły. Szkoda, że gorąca krew polska pcha tam na bezdroża a nie wyłącznie do pracy dodatniej. Szalony ferment został tam zadany w szczupłej garstce inteligentniejszych rodaków naszych. Przyglądając się tej burzy, nie wynosimy przekonania pesymistycznego, że zawierucha shańbiła, „podkopała“ imię polskie w Paranie i t. p. Przyznajemy tylko, że stał sie smutny wypadek.

Przybył do Kurytyby niejaki p. Wilhelm Meliński, żywo się zajął urządzaniem uroczystości polskich, odczytów, organizowaniem „ligi polskiej“, przedstawień teatralnych między innemi, Kościuszki pod Racławicami. Meteor ten zabłysnąwszy, usunął się z widowni, pozostawiając w kieszeniach wielu swych wierzycieli... bolesne pustki.

Z tego zdarzenia korzysta niechętna dotąd żywszej akcyi polskiej w Paranie i nam „Gazeta polska w Brazylii“ i umieszcza wstępny artykuł w numerze 31-szym z 30. lipca, wymierzony głównie... przeciw „Gazecie handlowo-geograficznej“. Na tle różnych sprawek W. Melińskiego, którego nazywa Menkesem Wolfem, żydem, wykwita

z uporem powtarzana insynacya, że my że Lwowa „polecilismy“ p. Melińskiego, że jest on wysłannikiem jak wielu innych, „Gazety Handlowo-geograficznej“. Okraszone to jest frazesami jak: „Czyż zarzut, który dziś nasza gazeta podnosi możecie odeprzeć? Czyż nie boicie się słów waszych głoszonych tak bezmyślnie ze szkodą nazwiska polskiego... O! *zapewno*, że *drżeć* będziecie na te słowa i może już odejdzie Was chętka opiekowania się ludźmi *stojącymi na wyżynie opinii naszej Parany t. j. „Gazety Polskiej w Brazylii i jej wsrółpracowników“.*

Gotowi jesteśmy przed tą wyżyną struchleć i przyznać się do winy, gdyby wina była. Tymczasem oświadczamy krótko, że *„jedynymi wysłannikami Gazety handlowo-geograficznej, byli dotąd tylko pp. Dr. Stanisław Kłobukowski i Aleksy Kurcyusz“.*

Pana Melińskiego, którego nieznaliśmy wcale, nigdy nie polecaliśmy, a gdy się do nas zgłosił z zamiarem wyjazdu do Parany, uprosiliśmy go o przewiezienie książek ofiarowanych dla Rodaków naszych, a nadto wręczyliśmy mu list do p.... z prośbą o wyszukanie mu jakiego zajęcia.

Kłamstwem jest więc twierdzenie, jakoby Meliński był naszym delegatem. Przyznać też trzeba, że w świecie szerokim łatwo naciągnąć ludzi na to, że się jest takim wysłannikiem Nasze towarzystwo cieszy się dobrem imieniem i między uczciwymi ludźmi wierzy się zwykle na słowo z pierwszego wejrzenia bez legitymacyi papierowych.

Ponieważ jesteśmy już przy „Gazecie Polskiej w Brazylii“ musimy zauważyć niewłaściwość z jej strony stawiania, pod względem zasług dla sprawy polskiej w Paranie, p. Aleksandra Enzingera obok p. Edmunda Saporskiego. Jestto przesada podobna tej jakaby była, gdyby szanowny redaktor „Gazety Polskiej w Brazylii“, p. Cezar Szulc, zapragnął być postawiony pod względem zasług dla literatury polskiej obok Adama Mickiewicza. Zasługi p. Edmunda Saporskiego są znane i wyższe ponad wszelkie mędrkowania. Zasługi zaś p. Enzingera należą do przyszłości. Niewątpimy wcale o tem, że one kiedyś się zjawią tak jak nie wątpimy też i o tem że powoli „Gazeta Polska w Brazylii“ dalej się będzie przekształcała z pesymistycznej i wątpiącej o wszystkim, co polskie na wcale porządną i nawet patryotyczną, Zwrot znaczny w tym względzie widzimy, a przyczynę tego przypisujemy pewnemu przebudzeniu żywiołu polskiego w Paranie. Na pokładzie tego ocknienia się nawet taki szanowny organ musi się przeinaczać. Widzimy to w Nrze 32 z 6. sierpnia, ostatnim jaki otrzymaliśmy. Jest tam bardzo uczciwie napisany artykuł wstępny; wzywa on do zachowania wiary i narodowości, ubolewa, że nie wszyscy Polacy mają świadomość polską należytą, zachęta do łączności w celu zachowania narodu naszego na obczyźnie a odbudowania ojczyzny w kraju rodzinnym i t. p. Przy tejże gazecie wychodzi od 30. lipca dodatek „Poranek“. wcale udatny i w dobrym duchu z pięknym wierszem Ujejskiego o Kościuszce. Zarzuciłby tylko można „Porankowi“, że w nim nie ma nic oryginalnego parańskiego, mającego charakter miejscowy ludności polskiej. Dowcipy i wiersze odnoszą się do stosunków polskich w Europie. Dobre to, lecz chcielibyśmy widzieć i coś z życia kolonistów naszych w Paranie.

Istotnego nieszczęścia, jakie się stało z Melińskim, nie można dosyć odżałować. Tem przykrzejsza to sprawa że zajął tam stanowisko naczelne. Wprowadził zamęt w Polsce parańskiej przez swe postępowanię i swą ucieczkę. Nie pierwszy to raz zdarzają się w świecie takie straszne zawody i niespodzianki — dość wspomnieć o Panamie, sprawie Dreyfusa, sprzeniewierzeniu Skarbu Narodowego w północnej Ameryce. Widzimy bezkarnie zachowanych, ukoronowanych i zaszczyconych jak: morderca kobiet Bojczew, kat Litwy Murawiew, Klinberg (Kroże), Barteniew (Wiśniewska), Kiryczenko, Herman i t. d. i t. d. Kajdaniarze założyli rzymskie państwo i przeważną część kolonii starożytnych i nowożytnych, bo obok nich byli tam ludzie zacni i poświęceni sprawie ogółu. Tym ostatnim zawdzięcza się zachowanie tego, co piersi zapoczątkowali lub nie zdołali zburzyć.

Powtarzamy raz jeszcze, że stało się nieszczęście w Paranie. Cofa ono dobrą sprawę w tył. Lecz mamy silną wiarę, że ostatecznie dobre żywioły wybijają się na wierzch i zdołają zorganizować ludzi naszych w silną całość. Nie wątpimy, że Polacy zdobędą sobia należne im stanowisko. Burza wiele zniszczyla, lecz oczyściła powietrze — i takie burze są pożyteczne. Z burzy tej wyjdzie Związek Narodowy Polski oczyszczony z fermentu.

Z Rapperswylu W ostatnich dniach Sierpnia 29, 30, 31. odbył się w Rapperswylu doroczny zjazd Rady muzealnej. Obszerniejsze sprawozdanie ze zjazdu odkładamy dla braku miejsca do numeru następnego dziś pospieszamy tylko donieść, że zjazd tegoroczny zaznaczył się kilkoma dla dalszego rozwoju Muzeum nader ważnemi reformami. Na trzy opróżnione po ś. p. A. Krechowieckim, Mottym Janowskim, (dwaj ostatni wystąpili z rady) miejsca w Radzie wybrani zostali poseł Bojko, Dr. Z. Balicki z Krakowa, i p Korytko z Paryża.

Salezyanie polscy w południowej Brazylii. Jak nam donoszą z wiarogodnego źródła, już w najbliższej przyszłości mają polscy OO. Salezyanie, których znaczny zastęp wyjdzie w niedługim czasie z kolegium w Turynie, objąć duszpasterstwo w koloniach polskich w Paranie, St. Catharina i Rio Grande zo Sul i w tym celu mają założyć w tych krajach swoje klasztory i misye. Dr. Kłobukowski we wspomnieniach swych, drukujących się obecnie w naszem piśmie, poleca założenie misyi salezyańskiej w kolonii polskiej Lucenie, leżącej na granicy Parany i St. Cathariny. Okolica Luceny zamieszkała jest przez dziki szczep indyjski Botukudów, do których dotąd promienie wiary Chrystusowej nie dotarły. Nasi kapłani OO. Salezyanie mieliby w Lucenie wdzięczne pole do działania nietylko przez to że dodawaliby opieki duchownej naszym rodakom, lecz nadto rozpocząćby mogli żmudne dzieło nawracania i cywilizowania Botukudów. Na ten projekt D. Kłobukowskiego zwracamy uwagę OO. Salezyan.

Towarzystwo opieki nad emigrantami Św. Rafała. Jak wiadomo, galicyjski komitet Towarzystwa św. Rafała, zawiesił przed trzema laty swą działalność w chwili, kiedy właśnie gorączka emigracyjna osiągnęła swój najwyższy stopień Szkody, jakie ztąd wynikły, zwłaszcza dla wychodźców, były nieobliczalne. Nie dziś jest jednak miejsce do omawiania tej klęski, jakie to nagłe zawieszenie działalności komitetu wywołało. Zadowolić raczej winniśmy się pocieszającą wiadomoscią, iż krajowy komitet Towarzystwa Św. Rafała na nowo odżyje. Jak donosi bowiem „Ruch Katolicki“, poczynione już zostały kroki w porozumieniu z konsystorzami biskupstw galicyjskich, celem zawiązania parafialnych komitetów, opieki nad emigracyą, któreby wspólnie działały z krajowym komitetem. Potrzeba teraz tylko poparcia kraju i społeczeństwa, pisze „Ruch Katolicki“, aby dzieło to popchnąć naprzód. Nie wątpimy iż powołany na nowo do życia komitet znajdzie sympatyę wszystkich, którym organizacya

wychodztwa leży na sercu; z drugiej strony mamy nadzieję, iż tenże komitet prowadzić będzie swą akcyę w duchu uchwał wieców katolickich i poznańskiego zjazdu prawników i ekonomistów polskich z r. 1893 i dążyć będzie ze wszech sił do skupienia wychodztwa naszego w takie ognisko, gdzieby ludność nasza zachować mogła swą narodowość i wiarę a rozwijać już dalej swe cechy narodowe. To jest główny postulat akcyi, jaką ma podjąć Towarzystwo św. Rafała.

Wice-konsul austro-węgierski w Kurytybie p. Pohl, nieustaje w swej gorliwości, z jaką opiekuje się losem naszych kolonistów.

Powróciwszy z kolonii nad Iguassu (Rio Claro, Św. Mateusz), udał się na wybrzeże oceanu Atlantyckiego w okolicy miasta portowego Paranagna, gdzie się znajduje mała kolonijka polska, złożona z 7 rodzin, nazwana St. Cruz. Koloniści nasi przybyli tam przed rokiem. Wzięli się do uprawy fasoli czarnej i kukurydzy. Cierpią nieco na febrę, panującą w tych stronach. W najbliższym czasie odwiedzi p. konsul kolonię Antonio Olyntho. (Agua Amarella.)

W Düsseldorfie (Niemcy) zawiązało się towarzystwo polskie „Polonia“, które zakłada bibliotekę i czytelnię polską. Wkrótce odbyć się ma staraniem towarzystwa uroczystość mickiewiczowska.

Korespondencye.

Hamburg, 5. września 1898.

Pod wrażeniem dwóch nowych wypadków przykrych i dla mnie, a stokroć przykrzejszych dla naszych biednych emigrantów kreślę kilka uwag.

Przed 3 tygodniami odwiedziłem w hotelu polską dziewczynę rodem z Poznańskiego, która jechała do Ameryki, a którą proboszcz listownie powierzył Opiece Tow św. Rafała. Wykupiłem jej bilet, dałem różne wskazówki i kartę adresową do polskiego domu emigracyjnego do Nowego Jorku. W tej samej stancyi równocześnie znajdowało się kilka osób z Galicyi, również emigrantów Kiedy zauważyli, że życzliwie po polsku przemawiam, że niewyciągam ręki po zapłatę, chociaż niewiedzieli że księdzem jestem, (poza domem w Niemczech nosi się czarne sle zwykłego kroju suknie) wyciągnęli ku mnie wszystkie swoje pieniądze i prosili, żebym i dla nich kupił karty, zmienił pieniądze i t. d.

Znalazłem się w przykrem położeniu, bo surowe tutejsze przepisy policyjne przyznają w tym razie prawo całkowitej „opieki“ nad emigrantami gospodarzowi hotelu. Gdybym wziął od nich pieniądze i załatwił im te sprawy, gospodarz hotelu miałby prawo pieniędzy odemnie zażądać, a przynajmniej oskarzyć mię przed policyą. Policya przepisuje mu ile ma brać za nocleg i utrzymanie ludzi, ale też *porachować* sobie za zmianę pieniędzy — wykupienie biletu, odprowadzenie do okrętu. Tego zarobku który zresztą od nich zawisł (nie można go kontrolować) nie chcą się zrzec gospodarze.

Aby nie wejść w zatargi z policyą, choć z ciężkim bolem serca musiałem powiedzieć ludziom, że tego uczynić nie mogę, musiałem ich zostawić zdanych na łaskę gospodarza.

Bardzo łatwo tego uniknąć: gdyby tylko ich X. Proboszcz napisał do mnie tydzień przed ich podróżą posłałbym im kartę adresową Tow Rafała. Przyjeżdżając do Hamburga, byliby tylko pod moją opieką, umieściłbym ich w stosownym hotelu i wszystkie inne interesa mógłbym dla nich załatwić, — owszem sam mógłbym pociągnąć do odpowiedzialności tego, — ktoby mi się do tych rzeczy mieszał.

Inny wypadek: wczoraj wieczorem idąc na posiedzenie towarzystwa polskiego spostzegłem w pobliżu kościoła katolickiego Galicyanina.

Rozpocząłem z nim rozmowę, w toku której dowiedziałem się, że wybrał się do Ameryki, że wczoraj wieczór przyjechał z Berlina, jakiś człowiek zaprowadził go do domu gościnnego na nocleg, że przy pożegnaniu wziął od niego już nie przypominam sobie czy do zmiany czy na kartę okrętową 77 zł. w. a. i rozumie się z tymi pieniądzmi już się niepokazał. Siedemdziesiąt siedem reńskich dla galicyjskiego chłopa (które pożyczył w tej nadziei, że w Ameryce zarobi i odda) to majątek.

Doprawdy niewiedziałem czy litować się nad tym człowiekiem, czy gniewać się na niego, że taki... nie roztropny.

Pytam się go między innymi, do jakiego miasta amerykańskiego jedzie? do Buffalo — odpowiedział.

Czy masz adres jaki, krewnych, znajomych?

Nie, nic nie mam, ale tam są ludzie z tej samej wsi, wreszcie z innych stron Galicyi, to ja się o swoich dopytam. — Ci ludzie nie mają pojęcia o stosunkach amerykańskich, wybierają się w podróż do Ameryki — jak na jarmark do sąsiedniego miasta. Ten n. p. obywatel był zupełnie swobodny, ledwo jedno miał liche „cajgowe“ ubranie na sobie, to wszystko, nawet drugiej koszuli nie miał.

Szczególna rzecz, Niemcy są intelegentniejsi, a przynajmniej wszędzie rozmówić sie mogą. Mimo to mają najlepszą opiekę w podróży — a Polacy, prostaczki i bez języka zdani na łaskę i niełaskę łotrów. — Pojęcie przechodzi, co ci agenci wyrabiają z Polakami. Sam miałem w zimie taki wypadek: wieśniak pewien wybrał się w podróż ze znajomymi, których miał adres do jednego z miast Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Agent zaraz na granicy (dlaczego to zrobil), niewiem, zamiast do Nowego Jorku sprzedał mu kartę okrętową do Brazylii. Dopiero gdy do Hamburga przyjechał porównałem adres na kartce wypisany, z kartą okrętową zobaczyłem oszustwo — wszystko się dało naprawić. Wieśniak ten czytać nie umiał, ani się niedomyślał, gdzie go agent wysyła.

Będzie to nieoceniona przysługa dla Polaków, wybierających się w podróż z Galicyi jeżeli się im zapewni lepszą opiekę.

Może Wielmożny Pan Redaktor uzna za stosowne w Szanownem piśmie uprosić kierowników naszego ludu by przed podróżą ostrzegali o niej pouczali przy sposobności. Jeżeli ktoś zechce koniecznie jechać, niechże ks. Proboszcz albo nauczyciel bogdaj korespondentką ze mną się porozumie, a jaknajwcześniej będę mógł, dam mu znać, kiedy, i jakie odchodzą okręta, ażeby długi czas nie potrzebował siedzieś w mieście portowem — następnie poszlę mu kartę Towarzystwa św. Rafała. Jeżeli z tą kartą przyjedzie, wyjść na kolej pewnie nie będę mógł, bo ludzie nasi jeżdżą IV klasą trudno więc obrachować, kiedy, którym pociągiem przyjadą do Hamburga. Ale będziemy się starali, by do każdego pociągu ktoś z naszych wychodził, a każdym, którego spotkamy, sumiennie się zaopiekujemy. W daleko lepszym położeniu są Litwini i Polacy z pod zaboru rosyjskiego, bo tych zabiera pod swą opiekę policya — trzyma ich jakby więźniów w osobnych barakach zamkniętych, ale przynajmniej *nie są narażeni* na takie koszta i oszustwa.

Dodaję że informacyę i opiekę i karty dostaną ludzie za darmo, w hotelu gdzie ich umieścimy — rozumie się muszą zapłacić, ale będziemy wybierali ile można sumiennych gospodarzy, a przytem sami kupimy im bilet, wymienimy pieniądze i odeszlemy *do polskiego domu emigrantów* do Nowego Jorku (tych co przez Nowy Jork pojadą).

Druga ważna uwaga: to możemy zrobić tylko dla tych — którzy będą mieli nasze karty — nam będą poleceni. Możeby stosowne było poprosić inne pisma o powtórzenie niniejszych uwag i prośby.

Sam mam bardzo wiele zajębia, ale już dłużej obojętnie patrzeć nie mogę na nędze i krzywdy biednego ludu.

Proszę Wielmożnego Pana Redaktora przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku.

X. Władysław Kisielewicz.
34 Kleine Michaelskiche.

Lucena, Stan Parana, w Lipcu 1898.

Dnia 11 go Lipca napadli znów Botukudzi naszą kolonią na linii Iracemie, zamordowawszy wdowę Klimkowską i syna jej mniej więcej dwudziestoletniego. Szczęściem dla tej kolonii, iż był to dzień św. Piotra i Pawła i że koloniści, zgromadzeni we wendzie Legandziewicza niedaleko od miejsca wypadku, mogli odeprzeć z łatwością napatników. Właśnie w dzień ten koloniści zgromadzili się do wendy wspomnianego Legandziewicza w celu naradzenia się względem założenia cmentarza. Jeden z kolonistów, idąc na naradę przechodził właśnie koło domu Klimkowskich, gdy ujrzał mnóstwo Botokudów dobijających wspomniane dwie osoby i rabujących całe mienie (z pierzyn powysypywali pióra i resztę zabrali ze sobą).

Czterech Botokudów puściło się w pogoń za wspomnianym kolonistą (nazywa się Lewko Pasemko), ale ten, narobiwszy hałasu, zdołał uciec im. Zgromadzeni koloniści u Legandowicza usłyszawszy hałas, nie domyślając się wcale, iżby to mogli być Indyanie, gdyż nie chcieli nawet wierzyć w ich istnienie, rzucili się w stronę skąd ich krzyk dochodził, myśląc, że to swoi się czubią i nie omal zderzyli się z goniącymi za Pasemkiem Bugrami, któremu jeden Botukud usiłował zarzucić pierzynę na głowę. Ale nie mając broni palnej, nie mogli dać dzikim należytej odprawy. Botukudzi umknąwszy trochę z drogi, zaczęli, przedrzeźniając Pasemka krzyczeć „guau, guau“ (gwałtu) i dopiero gdy usłyszeli parę wystrzałów, cofnęli się w las. Rząd, choć mu zaraz zatelegrafowano o zajściach (na drugi dzień znów wypadli dzicy z lasu ale zostali zaraz odparci) ignoruje zupełnie wszystko i jedyną obroną naszych, tak jak i na koloniach Moema i Costa Carvalho jest własna pomoc i czujność.

Urodzaj mieliśmy chwała Bogu bardzo obfity, ale cóż z tego kieoy p. Santa Agwa (Santiago) jak go koloniści nazywają, pobrawszy (czy do dziś dostaje, nie wiem) miesięcznie 1.200 milreiców na robienie dróg ani metra nie zrobił i zupełnie o kolonię się nie troszczy nawet dłużej jak rok do kolonii nie zajrzał.

Skutki tego niedbalstwa można sobie łatwo wyobrazić. Drogi wcale nie istnieją, gdzie jakie istniały to już dawno się popsuły. Chociaż prawdę powiedziawszy kolonia materyalnie się dźwiga, ale nie mając porządku i ładu demoralizuje się.

Szkolnictwa można powieezieć jeszcze w gorszym stanie się znajduje. Istnieje zaledwie szkoła polska w mieście Lucenie, do której kilka dzieci polskich uczęszcza. 2000 dzieci polskich zupełnie jest bez żadnej nauki. Szkoła kolonii także upadła ponieważ p. Bukowski stanowisko swe opuścił, a byłby mógł się utrzymać, gdyż teraz szkoła ta posiada nawet subwencyą i piękny domek z parą pokoików dla nauczyciela.

O tyle jednak się stosunki polepszyły na kolonii, iż rząd Centralny założył pocztę w Lucenie. któżej zarządcą został mianowany rodak nasz p. Wielewski.

T.... co

Notatki bibliograficzne.

Encyklopedya. Zbiór wiadomości z wszystkich gałęzi wiedzy. Wydanie Macierzy polskiej, tomów dwa. — Lwów 1898. Jest to pomnikowe dzieło ludowe, opracowane przez najznakomitszych autorów. Zawiera w alfabetycznym porządku całokształt wiedzy ludzkiej popularnie opracowany i jest jednym z najlepszych podręczników dla samouków. Winno znachodzić się ono w każdym domu jako niezbędna książka dla starszych i młodszych. Wychodźcy nasi i koloniści, oddaleni o mil tysiące od Macierzy, winni się zaopatrzyć w tę cenną książkę, a znajdą w niej obfity materyał do nauki starszych i do wychowania swych dzieci.

Całe dzieło jest bajecznie tanie. Oba tomy, liczące razem blisko dwa tysiące stron, oprawione, kosztuje 2 zł. Ponieważ jednak oba te tomy ważą blisko 3 kilogramy, przeto przesyłka pojedynczych egzemplarzy za granicę jest kosztowna. Pożądaną by zatem było rzeczą, aby celem zmniejszenia kosztów przesyłki, towarzystwa polskie lub nawet związki towarzystw, albo redakcye pism większych sprowadziły od razu dla swych członków większe zapasy tego dzieła.

Bliższe warunki nabycia encyklopedyi znachodzą się w dziale ogłoszeń.

Wielki wybór poezyi dla robotników, drukiem i nakładem A. A. Paryskiego. Toledo. (Ohio). Pod powyższym tytułem wychodzi obecnie zeszytami zbiór pieśni i poezyi na tle społecznem. Całość obejmie 20 tomów. Adres wydawnictwa A. A. Paryski. Toledo. Oh. 325 Huron Str. N. America U. S.

Nowa polska gazetka, pod tytułem „Nowy kraj“, pojawiła się w Chicago. Wydawcą i redaktorem tego pisma jest p. L. J. Mirosławski. „Kraj“ wychodzi raz na tydzień w każdy piątek. „Kraj“ będzie przybocznym organem chicagowskiego towarzystwa wzajemnej pomocy naukowej.

Sprawy Towarzystwa Handlowo-Geograficznego.

Dr. Stanisław Kłobukowski był we środę 31 sierpnia b. r. na posłuchania u Jego Fkscelencyi Namiestnika, któremu ofiarował się z gotowością zdania sprawy ze swej podróży po koloniach polskich w południowej Ameryce, przedłożył numera Gazety Handlowo-Geograficznej wraz z programami i sprawozdaniami dotychczasowej działalności Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego (w sprawie emigracyjno-kolonizacyjnej i w wywiadowczej sprawie handlowej) i polecił tę działalność uwadze i życzliwości Jego Ekscellencyi, który łaskawie przyjął to wszystko do wiadomości, i szczegółowiej wypytywał się o polskich stosunkach w Paranie.

Początkiem października odbędzie się Walne Zgromadzenie Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego i wybór Wydziału. Ożywienie jego działalności jest prawdopodobne. Czerpać można pewną nadzieję w powodzenie Towarzystwa z większego zajęcia, jakie ono budzi obecnie w kraju i za granicą na wychodztwie i z tego, że przystąpiło do niego kilku dzielnych i czynnych ludzi.

Do Towarzystwa przystąpili w ostatnich dniach:

Dr. Józef Gruszecki asystent uniwersytetu we Fryburgu.

Dr. Feliks Siemiątkowski urzędnik biura hydrograficznego we Lwowie.

Prośba o książki.

W Lucenie jednej z największej kolonii polskich *w Paranie* istnieje od dłuższego czasu prywatna szkoła polska p. Pawła Wielewskiego, do której uczęszcza również wielu Brazylian i Niemców celem nauczenia się języka polskiego. W szkole tej brak książek polskich szkolnych zwłaszcza elementarzy polskich. Polecając tę szkołę czytelnikom naszym upraszamy o nadsyłanie odpowiednich książek polskich pod adresem: Sul America Brasil Parana *Lucena* Pawel T. Wielewski (Sociedade polacce Kościuszko).

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny **Dr. Wiktor Ungar.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.